



Hilary McKay  
**WOJNA  
SKOWRONKÓW**

DWIE SIOSTRY

Hilary McKay



# WOJNA SKOWRONKÓW

z języka angielskiego przełożył

Łukasz Witeczak



Wydawnictwo Dwie Siostry

Warszawa 2022

*Kevinowi*

„A o poranku czekały na nas nowe wieści i nowe przygody”.

*z serdecznym podziękowaniem  
dla wszystkich osób, które mi pomogły*

1902–1908



Rozdział pierwszy  
*Clarry i Peter*

Ponad sto lat temu, w epoce świec i latarni gazowych, drewnianych kontuarów w sklepach i koni na ulicach, przyszła na świat pewna dziewczynka. Nie ucieszyło to nikogo prócz jej matki. Ojciec nie lubił dzieci, nawet swoich, a Peter, starszy brat, miał dopiero trzy lata i nie rozumiał, na co mu potrzebni jacyś inni ludzie poza rodzicami.

Ale mama cieszyła się bardzo. Dała córce na imię Clarissa, po własnej nieżyjącej matce.

– „Jasna i czysta” – szepnęła do ucha nowo narodzonej. – Oto co znaczy twoje imię: „Jasna i czysta”.

Clarry miała trzy dni, gdy jej matka umarła. Po tej tragedii padło w wąskim kamiennym domu wiele gorzkich i nieraz pochopnych słów; zarówno bowiem matka, jak i córka zachowały się bardzo nie stosownie: matka, odchodząc z tego świata, córka – nań przychodząc. Z punktu widzenia ojca, jak pewnego razu sam przyznał, na głos, ale bez świadków (chyba że liczyć tygodniowego noworodka), było to wielkie utrapienie. A skoro już musiała umrzeć, dodał z wyrzutem, to byłoby lepiej, gdyby i dziecko...

Na szczęście w tamtej chwili do pokoju wkroczył trzyletni Peter i okrutne słowa pozostały na końcu ojcowskiego języka. Chłopczyk był mniej bezduszny. Chwycił tylko szczebelki łóżeczka i wydarł się na spokojnie leżącą siostrzyczkę:

– Idź sobie! Mama, mama, mama, mama!

Biedak w końcu zachrypl od tych wrzasków, lecz mimo to nie przestał krzyczeć. Lamentował na cały głos jeszcze długo po tym, jak ojciec oderwał mu jeden po drugim palce od szczebelków, zawłókił na dół i oddał w ręce jego babki, a swojej matki.

– To mnie przerasta – oznajmił całkiem szczerze, gdy tylko się u nich zjawiała. Po narodzinach Clarry najchętniej zaszywał się w biurze w śródmieściu. Tam w błogiej ciszy zajmował się ile wlezie Bóg wie czym. Do domu wracał jak skazaniec.

Babka dzieci także niechętnie przyjeżdżała. Do Plymouth z jej domu w Kornwalii był szmat drogi. Poza tym sprawowała już pieczę nad jednym wnukiem: niespełna siedmioletnim Rupertem, którego rodzice popłynęli do Indii. Musiała teraz zostawić go z dziadkiem.

– Od razu ci mówię, że ten stan rzeczy nie może trwać długo – rzekła surowo do syna. – Rupert jest strasznym urwisem. Wcale mi się nie uśmiechało go zostawiać!

– Chyba najlepiej byłoby – odparł z nadzieją w głosie ojciec, przesuwając się wolno w kierunku drzwi – gdybyś wracając, zabrała ze sobą Petera i... yy... to drugie. Wtedy cała trójka mogłaby się wychowywać razem. Czy tak nie będzie najkorzystniej? – dodał, nie precyzując jednak, o czym ją korzystać mu chodzi.

Babka dzieci spodziewała się takiej propozycji i miała gotową odpowiedź. Odrzekła bardzo stanowczo, że nie przyszłoby jej do głowy pozbawiać Petera i Clarry codziennego kontaktu z ojcem.

– Nawet gdybym czuła się na siłach zajmować w moim wieku trójką małych dzieci...

Jej syn miał przerażoną minę.

– W dzisiejszych czasach sześćdziesiąt pięć lat to tyle co nic – wtrącił pospiesznie.

– Mnie dokuczają kolana i serce – odparła twardo – a twój biedny ojciec bez przerwy skarży się na ból w piersiach. Ale – dodała zaraz, widząc w oczach syna desperację, która mogłaby go zaprowadzić pod bramę sierocińca – zostanę na trochę i postaram się pomóc, jak umiem najlepiej.

Aby babcia Petera i Clarry mogła z nimi zamieszkać, trzeba było posłać Ruperta do szkoły z internatem. Przez następny rok starsza pani dwoiła się i troiła, dzieląc uwagę między rozmowy z kandydatkami na służącą, żale porzuconego męża, napady wściekłości Petera, ząbkowanie Clarry i zupełną obojętność ojca dzieci.

– Jest pogrążony w żałobie – domyśliła się panna Vane, sąsiadka z naprzeciwka.

– Nic podobnego – odparła stanowczo babka.

– W takim razie jeszcze się biedaczyna nie otrząsnął z szoku.

– Myśli tylko o sobie – ucięła babka. – Zepsułam obu synów i teraz mam za swoje.

– Ależ, droga pani Penrose! – wykrzyknęła sąsiadka.

– Jest zepsuty, samolubny, niedojrzały i nieodpowiedzialny.

Panna Vane zaśmiała się nerwowo, po czym oznajmiła, że pani Penrose ma bardzo nietypowe poczucie humoru.

– Skoro tak pani uważa – odparła babka dzieci i po raz setny tego popołudnia wytarła podbródek Clarry, a potem wyciągnęła Petera z kubła na węgiel. Gdy kilka dni później dowiedziała się, że jej

opuszczony mąż zachorował na zapalenie płuc, przyjęła tę nowinę nie bez ulgi.

– W całej Kornwalii nie ma ani jednej osoby, której mogłabym zaufać, że dobrze się nim zaopiekuje – oświadczyła swojemu synowi. – Clarry chodzi i zaczyna mówić. Peter jest już całkiem samodzielny. Znalazłam ci świetną służącą, która lubi dzieci. Absolutnie nie mogą zostać dłużej.

I nie bacząc ani na zdziwione spojrzenie Clarry, ani na żaloszny lament Petera („Babciu, wracaj, babciu, wracaj, babciu, babciu!”), ani wreszcie na swojego syna, który nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, wyruszyła w drogę powrotną do Kornwalii dorożką, pociągami i jednokonką\*.

Na szczęście dla obojga dzieci oraz ich zrozpaczonego ojca w tamtych czasach prawie każdy, o ile sam nie był służącym, zatrudniał w domu służbę. Była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Toteż w kolejnych latach przez życie Petera i Clarry przewinął się długi sznur zrzedliwych, nerwowych, przemęczonych, źle opłacanych kobiet, które krzątały się po całym domu, czasem na paluszkach, a czasem wręcz przeciwnie. Zamiatwały dywany, gotowały całe garnki puddingu, szorowały dłonie podopiecznych twardym żółtym mydłem, a buzie wycierały im rogiem fartucha, przynosiły węgiel, wносиły popiół, smażyły kotlety, zmywały posadzki, glancowały buty, przeganiały koty i gołębie, szarpały szczotką kołtuny we włosach, robiły na kolację moczone w mleku grzanki z czerstwego chleba, trzepały dywaniki, siadały z westchnieniem i podnosiły się z jękiem, irytowały ojca dzieci samym swoim

\* Niektóre nazwy i wyrażenia zostały wyjaśnione w słowniczku na końcu książki (przyp. red.).

istnieniem i szybko rezygnowały z pracy, aby poszukać lżejszego zajęcia.

Tapety w wąskim domu blakły, meble się wycierały, a dzieci rosły i rosły. Z Peterem było tyle problemów, że ojciec posłał go do szkoły. Tam okazało się, że jest wyjątkowo bystry, co zdaniem panny Vane mogło tłumaczyć jego nieopanowane wybuchy. Clarry nie sprawiała kłopotów; miała brązowe włosy, okrągłą twarz i raczej pogodne usposobienie. Panna Vane wstąpiła raz do nich, by zaprosić ją do prowadzonej przez siebie szkółki niedzielnej.

– Ona nie wierzy w Boga – oznajmił dziewięcioletni Peter, który jej otworzył. – Wyjaśniłem jej, że Bóg jest zmyślony, prawda, Clarry?

Clarry wepchnęła się bratu pod pachę i uśmiechając się do panny Vane, potaknęła ruchem głowy.

– Chyba wolalabym o tym porozmawiać z waszym ojcem – odparła sąsiadka.

– Ojciec nie będzie słuchał – stwierdził Peter.

W tej samej chwili nadeszła pani Morgan, która wytrzymała z nimi zdecydowanie najdłużej ze wszystkich służących; mokrą ścierką trzepnęła Petera po ręce, którą trzymał na gałce drzwi, wyjęła Clarry kciuk z buzi, krzyknęła: „Na górę jedno z drugim! Wszędzie się wcisną nieproszone”, po czym zapewniła pannę Vane, że pan Penrose byłby zachwycony, gdyby Clarry co niedziela przez godzinkę lub dwie miała zajęcie – i że postarają się ładnie ją ubrać na tę okazję.

W ten sposób panna Vane rozpoczęła Wielkie Chrześcijańskie Dzieło Czuwania nad Rodziną Penrose’ów, co nie zawsze było tak zbawienne, jak sobie wyobrażała, i nieraz irytowało Petera.

– Ona mi wygląda na jedną z tych osób, które muszą zawsze czuć się potrzebne – stwierdził ojciec dzieci w rozmowie z panią Morgan. –



Zaproponowała, że sama zadba o to, żeby dzieciak... żeby Clarry miała w czym chodzić. Na jej babkę nie ma co liczyć, uparła się, że będzie mieszkać w Kornwalii. A panna Vane jest całkiem nieszkodliwa. Nie widzę niczego zdrożnego w takim układzie.

– Podchodzi za blisko i czuć od niej kotami – oznajmił raz Peter po wyjątkowo męczącym popołudniu spędzonym w towarzystwie panny Vane.

– Kocim jedzeniem – poprawiła go Clarry. – Wątróbką. Ona ją gotuje. Widziałam na własne oczy, kiedy poszłam do niej, żeby podwinęła mi brzeg sukienki – dodała, wzdychając. Uczynność sąsiadki dotykała ją w znacznie większym stopniu niż Petera. Panna Vane zabierała Clarry na długie rześkie spacer, na których półgłosem instruowała ją, jak być miłą i układną. Zrobiła dla niej na drutach gryzący szalik w paski, a gdy zimowej sukienki Clarry, pozostawionej przez panią Morgan do wyschnięcia nad kuchennym piecem, nie udało się doprać z sadzy, panna Vane uszyła jej nową, w ohydną zielono-musztardową kratę. Dziewczynka musiała stać na krześle, podczas gdy jej dobrodziejka szarpała ją na wszystkie strony i upinała tkaninę mnóstwem szpilek.

– Krzywo zszyta, no i te brązowe guziki wyglądają okropnie – skwitował Peter, gdy mu się w niej pokazała. – Ale wątpię, żeby ktokolwiek zwrócił uwagę.

– Dla ciebie też robi szalik – poinformowała go Clarry.

– Niech robi. Wrzucę go do rzeki.

– Nie wolno ci wrzucić do rzeki szalika zrobionego specjalnie dla ciebie przez biedną starszą panią.

– Wolno mi. Poza tym ona wcale nie jest biedna. Ani taka znowu bardzo stara.

Lecz dla sześciolatniej Clarry panna Vane była osobą w podeszłym wieku, podobnie zresztą jak wszystkie jej znajome. Dwie z nich prowadziły szkołę dla dziewcząt na poddaszu innego wysokiego i surowego domu. Mówiono o nich „panny Pinks”.

– Jak? – spytał ojciec Clarry.

– Panny Pinks – powtórzyła bez mrugnięcia okiem panna Vane. – Przyznaję, że to dość staromodne. Podobnie jak sama szkoła. Bardzo tradycyjne wartości. Wspominam o tym, bo tak się składa, że ona jest dosłownie za rogiem. O ile wiem, dziewczynki zaczynają naukę mniej więcej w wieku Clarry.

– Jej babka powtarza, że już czas, bym posłał ją do szkoły – przyznał ojciec.

Nie minęły dwa dni, a Clarry wspinała się na trzecie piętro do szkolnych sal panien Pinks.

W przyszłości miała się tam wdrapywać jeszcze wiele razy.

W szkole panien Pinks było ciemnawo, ulica biegła hen w dole, a na parapetach leżały brzuchem do góry muchy plujki. Po kilku godzinach wdychania oparów z piecyków bolała głowa, oczy się ćmiły i człowiek robił się senny.

Ale, jak stwierdził jej ojciec, nawet jeśli Clarry miała się tam niewiele nauczyć, to przynajmniej wychodziła z domu.

1908–1911



Rozdział drugi  
*Lekcje i gwiazdy*

Clarry bardzo wcześnie zrozumiała, że wszystko, co uprzykrza im życie – panna Vane i jej gryzące szaliki, nieprzewidywalna kuchnia pani Morgan i reszty służących, chłód ojca, coraz to bardziej zapuszczony dom, maczany w mleku czerstwy chleb na kolację czy wreszcie zawziętość i nieokrzesanie Petera – miało swoje źródło w tym, że ona, Clarry, przyszła na świat, a jej matka z niego odeszła. Nikt nie powiedział jej tego wprost, ale gdyby ktoś to zrobił, pokiwałaby smutno głową i przyznała mu rację.

Mimo to nuciła sobie do rysowania, zbiegała w podskokach po schodach, rozmawiała z kotami i końmi, a humory Petera nie były jej straszne.

– Niech panienka nie daje sobie w kaszę dmuchać – doradziła jej pani Morgan, kiedy we dwie obierały ziemniaki. – Nie ma powodu, żeby panienka biegała na każde jego zawołanie. Czego znów chce?

– Praca domowa – odparła Clarry, będąc jedną nogą w korytarzu.

– Panienka mu powie, że musi sobie poradzić bez panienki pomocy!

– Nie, nie, nie – zawołała i uciekła, by nie słuchać kolejnych niedorzecznych rad służącej. Wspólne odrabianie lekcji zaczęło się w dniu, w którym Peter poszedł do szkoły. Od tamtego czasu oczekiwał, że Clarry co wieczór przebrnie przez nowy materiał i pomoże mu rozwiązać zadania. Nieważne, że była dziewczynką, i to o trzy lata młodszą od niego. Uparł się, że będzie razem z nim ślęczała nad matematyką, historią, łaciną, naukami przyrodniczymi, geografią i czym tam jeszcze akurat się zafascynował. Clarry nie pytała, na co komu umiejętność wskazania na mapie Anglii dróg rzymskich ani wiedza o tym, jak działa zegar z wahadłem.

– Gdybyś musiała w tej chwili poszukać szczura śniadego, gdzie najbliżej byś go znalazła? – pytał ją przez ramię, wychodząc do szkoły. – A wilgę? A rekina olbrzymiego? A dzikiego pawia?

Clarry nie wiedziała, gdzie szukać tych zwierząt, ale wiedziała, gdzie znajdzie odpowiedź. Dwa zakurzone rzędy *Encyklopedii Britannica*, niegdyś rozpychające się na półkach w salonie, już dawno przeniosły się na środek jej pokoju.

Tego wieczora Clarry zastała Petera u podnóża schodów. Wyjmował coś ostrożnie z torby.

– Gdzie się podziewałaś? – spytał. – Mamy dziś do przerobienia matematykę i jakiegoś głupiego Szekspira, ale spójrz, co wypożyczyłem.

Była to książka w granatowo-kremowej oprawie zatytułowana *Historia nieba*. Na okładce widniały złote kręgi różnej wielkości.

Aureole, pomyślała Clarry. Otwierając książkę, spodziewała się aniołów, tymczasem jej wzrok padł na rycinę z soczewką zbierającą światło odległej gwiazdy.

– Popatrz! – zawołała. – To jest o gwiazdach! Z tej książki można się dowiedzieć, jak działa teleskop.

– Oczywiście – odparł Peter.

– A to jest kometa! – Clarry ponownie spojrzała na okładkę. Aureole zmieniły się w orbity planet. Strony miały złote brzegi. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak pięknego. – Skąd to masz? – spytała, dotykając planet.

– Z biblioteki. Dopiero co przyszła. Możemy ją trzymać w domu przez dwa tygodnie.

Ucieszyło ją to „my”.

– Właśnie taką książkę zamierzam kiedyś napisać! – oznajmiła.

Zaraz potem dobiegło ich zniecierpliwione: „Jeszcze czego!” i do przedpokoju wszedł ojciec.

– Mogłabym – powiedziała Clarry nieco urażona. – Ojciec nie byłby ze mnie zadowolony?

– Byłbym zadowolony, gdyby twój brat przestał cię nakłaniać do naśladowania go we wszystkim, co mówi, robi i myśli. Wyjdzie nam na dobre, kiedy wreszcie... – Urwał w pół zdania, nabrał powietrza i wzruszył ramionami.

– Kiedy wreszcie co? – Peter zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

– Nic, nic. Przepraszam was, mam coś pilnego do zrobienia. Peter, czy nie powinienesz odrabiać lekcji? A ty, Clarry, mogłabyś chyba pomóc pani Morgan?

– Pomagam. Ja tylko...

– No to żwawo.

– Tak jest. – Clarry odwróciła się ku drzwiom za schodami, prowadzącym do tej części domu, w której ojciec nie był od lat: kuchnia, spiżarnia i wilgotna piwnica leżały poza granicami jego świata.

– Czekaj! – zawołał Peter i ominął ojca. – Masz. Przeczytaj.

– Właśnie o czymś takim mówię – fuknął ojciec, lecz Clarry prędko czmychnęła, a Peter odwrócił się, jakby w ogóle go nie słyszał.

– No tak! – Pani Morgan spojrzała na Clarry znad ziemniaków. – Wszystko słyszałam! Tamci jak zwykle się handryczą i jeszcze panienki tam brakowało!

– To nic wielkiego. Chodziło o książkę – odparła Clarry. – O tę. Peter wypożyczył ją z biblioteki. To o księżycu, gwiazdach i planetach.

– Wróżby! – zachnęła się pani Morgan. – Nie dziwota, że ojciec panienki nie był zadowolony!

– Nie, skąd, żadne wróżby... teleskopy i tak dalej! – zawołała Clarry. – Nauka!

– Teleskopy ojcu panienki też raczej się nie spodobają – orzekła pani Morgan. – Ale mniejsza o to. Panienka usiądzie i poczyta mi na głos. Muszę umyć jarzyny.

Clarry usiadła, przewróciła kilka stron i zaczęła czytać:

– Któż z nas nie śledził z po... z podziwem pięknej sekwencji zmian, jakie miesiąc w miesiąc przechodzi księżyc? Wpierw jawi się nam jako mało... jako malowniczy sierp...

– Szary i zakurzony! – skwitowała pani Morgan, tępych nożem siekając kapustę. – Cały w plamach. Niech panienka czyta dalej.

– Malowniczy sierp świecący blado na zachodzie...

– Malowniczy, dobre sobie! Przecież on jest szary. Zawsze mi się taki zdawał. Jak, nie przymierzając, panienki rodziciel.

– Ojciec? Szary?

– Zszarzały. Przestraszony, można by rzec. Boi się świata. Kiedy powarkuje na panienkę, to tylko strach przez niego przemawia. No, co się panienka tak patrzy! Pomyślałam, że powiem kilka słów dla

panienki własnego dobra. Żeby się nim panienka za każdym razem aż tak bardzo nie przejmowała.

Clarry odwróciła wzrok.

– Mój ojciec był inny. – Służąca wyspała górę poszatkowanej kapusty do garnka i zabrała się za kolejną porcję. – Mój ojciec prał mnie pasem. Regularnie!

– Pasem! – wykrzyknęła przerażona Clarry. – Dlaczego?

– A, to zależy, co akurat zbroiłam. Za pyskowanie. Za wymykanie się przez okno na schadzki z chłopcami. Raz pojechałam na jego koniu na jarmark. Wyprzęgåłam szkapę z wozu, a ojciec nie zauważył, chociaż stał przed chatą. Zagapił się na komin!

– A co było nie tak z kominem?

– Zapalił się – odparła pani Morgan ze spokojem. – Uparłam się, że muszę pojechać na ten jarmark, więc wzięłam rozpałiłam duży ogień i dorzuciłam snopek słomy. Nie chciałam, żeby zabawa mnie ominęła jak rok wcześniej. Bawiłam się do rana, a miałam dopiero czternaście lat! Ależ mi tatko potem zgotował powitanie!

Clarry wpatrywała się w panią Morgan z niekłamanym podziwem; w jednej chwili zapomniała o własnych problemach.

– O, mój ojciec jak się zawziął, to nie było zmiłuj. – Służąca pokiwała głową. – Ojciec panienki to dżentelmen, nawet jak ma humory. Wystarczy już tych jarzyn?

– Tak – odparła Clarry, która niezbyt przepadała za kapustą. – Dziękuję.

Tytuł oryginału: *The Skylark's War*

© Copyright by Hilary McKay, 2018

© Copyright for the Polish translation by Łukasz Witeczak, 2021

© Copyright for the illustrations by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2021

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2021

wydanie I

ISBN 978-83-8150-369-3

wydawnictwodwiesiostry.pl

redaktorka prowadząca: Dominika Cieśla-Szymańska

redakcja: Anna Mirkowska

korekta: Beata Wójcik

projekt okładki: Aleksandra Cieślak

skład wersji elektronicznej: Klaudia Kozińska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie lub wykorzystywanie do celów wykraczających poza zakres własnego użytku osobistego jest naruszeniem prawa autorskiego i rodzi odpowiedzialność cywilną i karną.

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

00-391 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).